

Zaufaj

Zaufaj
Puść
Kochaj

MONIKA GÓRSKA
Zaufaj



Copyright © 2022 by Monika Górską

Copyright © 2022 for this edition by Fabryka Opowieści
Monika Górską

Projekt graficzny okładki Tymoteusz Górski i Krzysztof Lorczyk OP

Na okładce wykorzystano zdjęcia:
etienne-girardet/unsplash, dewang-gupta/unsplash

Zdjęcie Autorki Tatiana Wilińska Photography

Opracowanie graficzne i skład Jacek Grześkowiak

Redaktor Hanna Koźmińska

Autorzy zdjęć: Monika Górską, Anna Sikorska,
Michał Ellmann TVP S.A., Jacek Kordus, Mateusz Kowal,
Sprawny Marketing.
Pozostałe zdjęcia pochodzą z archiwum Autorki.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach
i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie
pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-941259-0-5

Książkę możesz zamówić na stronie:

fabrykaopowieści.pl/zaufaj

Fabryka Opowieści

fabrykaopowieści.pl
monikagorska.com

Druk i oprawa

Drukarnia Wydawnictwa Bernardinum Sp. z o.o., Pelplin

*Mojej kochanej Mamie Lidii Górskiej
i kochanej Cioci Jadzi Dąbkiewicz,
których życie pokazuje mi,
że najlepszym lekarstwem na strach
jest zaufanie.*

Gdybym nie wierzyła w Wielkiego Scenarzystę
przedtem, zanim zaczęłam pisać, to uwierzyłabym
dzięki losom, które poznaję. A życie byłoby straszne,
gdyby nie było komu opowiadać.

Hanna Krall

ZANIM ZACZNIESZ CZYTAĆ, CHCĘ CI POWIEDZIEĆ, ŻE...

Kiedy czasem budzę się o trzeciej w nocy z pierwszego snu, w moim owiniętym jeszcze niczym kołdrą mózgu zapala się nagła myśl. Jakbym znowu była na egzaminie: Jak jest? Dobrze? Czy źle?

Wiaderko z czarnymi myślami już czeka w pogotowiu, żeby się wylać i na długo odgonić spokój.

Jaka ulga, kiedy przez opary snu przebiję się jasna myśl: Wszystko jest, jak ma być.

Aż pewnego dnia pojawia się pytanie:
A jeśli moje życie to scenariusz?

Biała kartka, która jest już przez Kogoś zapisana. Tylko na pierwszy rzut oka tego nie widać.

Kiedyś na takiej kartce, która leżała przy moim łóżku, drobnym maczkiem wypełniałam szczerze każdą godzinę, czasem nawet kwadrans. Linijka po linijce, żeby wszystko się zgadzało.

Potem w punktach, grubą kreską kreśliłam najważniejsze cele dnia. To dawało mi poczucie bezpieczeństwa. I przekonanie, że moje życie ma sens. Że dokąds zmierzam, że dokąds dojdę, że mam nad nim kontrolę.

Aż wydarzało się coś i nagle całe akapity znienacka były wykreślane, słowa w rozsypce, nijak nie można było doszukać się w tym logiki, a na kartce pojawiało się coraz więcej pustych miejsc. Nic tylko wyrwać ją, zgnieść w kulkę i rzucić tak, by wylądowała prosto w koszu.

Kto nie wie, jak boli zawiedziona nadzieja? A im więcej nadziei, tym więcej łez. Ale po każdym, najdłuższym nawet płaczu w końcu trzeba wytrzeć nos.

– Tak widocznie miało być – kwituję w końcu, kiedy coś złego mnie spotyka.

Do dziś pamiętam, jak jeszcze w liceum denerwuje to moją przyjaciółkę Dorotę. Nie może się z tym zgodzić.
– Nie jesteś przecież jakąś marionetką w rękach Boga.

Nawet gdyby tak było, to mi jakoś te sznurki nie przeszkadzają, skoro pociąga za nie sam Mistrz.

Ciągle tylko nie potrafię zrozumieć, jak to jest z tą naszą wolną wolą.

Jeśli moje życie to scenariusz, opowieść zapisana od początku do końca, to czy jest tam cała moja historia? I z góry jest zapisane, co wybiorę?

To w końcu mogę wybrać czy nie?
A jeśli mogę, to co wybrać, żeby było najlepiej?

Podejmowanie decyzji zdecydowanie nie jest moją najmocniejszą cechą. Każdą sytuację widzę z tylu możli-

wych stron, jakbym rozkładała nigdy niekończący się wachlarz. Każdej przyglądam się, badam, analizuję. I jak tu wybrać? Skąd mam wiedzieć, która decyzja jest tą właściwą? W dodatku, kiedy tak bardzo sobie nie ufam. Tyle już kiepskich decyzji w życiu podjęłam, że przy każdej kolejnej jeszcze bardziej się boję. Powoli i niepostrzeżenie w moich żyłach zaczyna krążyć lęk...

Jak Izraelici na pustyni, czterdzieści lat błędzę, szukając po omacku odpowiedzi na te pytania.

Kilkanaście ostatnich lat to droga wyjątkowo stroma, ciągle pod górę, ostrym żlebem, pełnym osypujących się znienacka spod nóg kamieni. Jak na tę pustynną górę, nad Jerychem, gdzie przez czterdzieści dni pościł, a potem był kuszony Jezus.

Czuję opór wiatru. Ledwo idę. W nagłych powiewach do oczu sypie się piasek. Bywa, że ze zmęczenia czuję w gardle łzy, które odbierają mi oddech.

Nie ma szans, żebym doszła.

I w końcu jedna szybka decyzja sprawia, że idę w inną stronę. A za kolejnym zakrętem droga prowadzi prosto na szczyt. I te widoki... Koło spirali zaczyna się odwracać. I już nigdy nic nie będzie takie samo jak przedtem.

Jakie były pierwsze kroki? Niewielu opowiadałam tę historię...



1. KTO PISZE NAJLEPSZE SCENARIUSZE?

To było najbardziej emocjonujące zebranie w mojej firmie, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłam.

Sala konferencyjna na parterze, z dużymi oknami wychodzącymi na skrzyżowanie ulic Krzywoustego i Serafitek w Poznaniu. Wiosenny poranek 2011 roku. Wokół owalnego stołu tłoczą się najlepsi dziennikarze, operatorzy i montażyści poznańskiej TVP. Dyrektorka ośrodka coś mówi. Wszyscy mają dość ponure miny. Od kilku ładnych lat żyjemy w ciągłym stresie i poczuciu zagrożenia. Pracy coraz mniej, płacy coraz mniej, misji coraz mniej. I to ciągle widmo zwolnień grupowych, powracające jak mantra.

Niemile. Nie. Okrutnie niemile.

Ale to ciągle moja ukochana TVP. Choć z roku na rok i z miesiąca na miesiąc, wraz z kolejnymi zmianami rządów i zarządów, staje się coraz mniej ukochana. Przez czternaście lat pracy w TVP mam szefów z każdej partii. Wszystkie mówią pięknie i wzniośle o misji telewizji publicznej, a potem wszystkie robią dokładnie to samo. Ale że ja, jak Krzysztof Kieślowski, sama stanę się trybikiem w jakiejś maszynie, którą obraca zupełnie kto inny w obcych mi celach?

Jest czerwiec 2002 r. Jak co roku robię dla Dwójki reportaże i relacje ze spektakli Festiwalu Teatralnego Malta. Ostatni spektakl. Północ. My na nogach od rana. Jeszcze ten teatr z Niemiec, potem kilka godzin snu, a rano szybki montaż relacji dla Grażyny Torbickiej. Jak co dzień. Uwielbiam z nią pracować! Zawsze przygotowana, zawsze profesjonalna, z wielką klasą i wdziękiem. Taka sama na planie, jak poza nim – serdeczna, życzliwa, potrafiąca słuchać.

Kręcimy. Symultaniczna scena w kilku kontenerach, w których na białych płóciennych paskach, jakby bandażach, zwieszają się głowami w dół aktorki. Ostra, transowa muzyka, dymy.

Nagle traaaach. Kłapa jednego z kontenerów zatrzaskuje się. Słychać przeraźliwy krzyk aktorki. Myślimy, że to część spektaklu. Nagle teatralne reflektory gasną i tylko słychać krzyk:

– Ambulans! Ambulans!

Dość szybko przyjeżdża karetka na sygnale. Stoimy jak sparaliżowani. Mamy nadzieję, że za chwilę odjedzie stąd również na sygnale, wioząc aktorkę do szpitala. Po ciągnących się w nieskończoność minutach karetka odjeżdża... Cisza.

W tę upalną noc nagle robi mi się zimno...

Właśnie z moją ekipą nagraliśmy czyjąś śmierć. Robiłam już wcześniej filmy o umieraniu i mam ogromny szacu-

nek do człowieka i do śmierci, do jego godności. To jedna z moich kluczowych wartości dziennikarza.

Ale teraz pracuję w TVP i domyślam się, co oni z tym dalej mogą zrobić. Czuję, jakby żołądek ścisnął mi jakieś metalowe szczypce. Cichcem biorę kasetę od operatora i jadę do domu. Nie mogę spać. Przewracam się z boku na bok. Co zrobić? Zniszczyć kasetę? Udać, że zgubiłam? A może nikt się nie domyśli, że akurat nagraliśmy ten właśnie fragment? Rozumiem już, co czuł Kieślowski, kiedy kręcił swój dokument *Dworzec*. I co spowodowało, że ostatecznie odszedł od dokumentu.

Nad ranem telefon od dyrektora:

– Natychmiast kasetę!

Próbuję coś tłumaczyć. Że zabezpieczyłam dla policji jako dowód.

– A dla kogo pani pracuje? Dla policji czy dla nas? Natychmiast kasetę do telewizji. – Ton nieznoszący sprzeciwu.

Jadę do telewizji na Serafitek. Daję kasetę. I tylko błagam go, żeby uszanowali młodą aktorkę i jej rodzinę i nie pokazywali tego fragmentu. Moje prośby nie mają dla niego znaczenia. A to, co dla mnie jest tak ważne, dla niego w ogóle się nie liczy.

– Zrobimy, jak będziemy uważać.

I tak zrobili. W ogólnopolskim Magazynie Reportażowym wyemitowali śmierć na żywo. I to był mój materiał...

Czuję się współwinna. Coś we mnie pęka.

Rozumiem, że telewizja jest od pokazywania wiadomości. Ale przecież można to było zrobić inaczej. Z szacunkiem. Chwilę później montuję relację dla Dwójki. Pokazujemy spory fragment spektaklu Antagon Theater Action. Tuż przed wypadkiem „zejdźcie do czerni”. I tylko słysząc dźwięki tego, co się tam wtedy działo. Biały napis tłumaczy tę tragiczną sytuację.

To jest pierwszy raz, kiedy czuję, że chyba nie chcę już pracować w tej mojej, dotąd ukochanej, telewizji. Pierwszy impuls. Początek końca.

Mijają kolejne lata, a ja coraz bardziej tracę nadzieję, że to się zmieni.

I wtedy słyszę TO...

Od tego momentu zaczynają się chyba dwa najtrudniejsze tygodnie w całym moim życiu zawodowym. Tak jak i pozostali uczestnicy pamiętnego zebrania dostają wybór. Mogę odejść z TVP, w której pracuję od czternastu lat i w której mogę robić to, co kocham najbardziej na świecie – reżyserować filmy, które zawsze były dla mnie pomostem do ludzi i do ich opowieści. To tu dla Jedynki, Dwójki, Trójki i TVP Polonia zrobiłam około stu sześćdziesięciu filmów dokumentalnych, reportaży i felietonów. Kilka docenionych nagrodami na festiwalach w Polsce i na świecie.

Wybór mam taki: mogę odejść dobrowolnie, z odpowiednią odprawą, wiadomo, albo zostać i biernie czekać na dalszy ciąg. A może jednak w końcu się poprawi?

Może zmieni się ekipa, może nas sprywatyzują, może wróci na antenie czas na dokumenty, kulturę, piękno...

Przez całe te dwa tygodnie równo o trzeciej w nocy budzi mnie łomot serca. Żołądek i jelita skręcają się w supeł. Na plecach strużka potu.

Co wybrać?



W książce *Spełnij marzenie, marzenie spełni Ciebie. 12 lekcji życia od Wielkiego Kanionu* opisałam już swoją sytuację. A więc tylko w dwóch słowach – sama wychowuję syna, wtedy dziesięcioletka, i opiekuję się mamą, która jest po kolejnym przerzucie jednego ze swoich czterech nowotworów. Żyję kiepsko, bo kiepsko, ale żyję z filmów. W tym ostatnim okresie robię średnio jeden, dwa filmy dokumentalne w roku. Wynagrodzenie za film rozkłada się na kilka miesięcy, ale nie narzekam. Taki mój wybór.

Nie chcę stracić mojego od tylu lat zakochanego, jak na pierwszych randkach, spojrzenia na sztukę filmową. I zacząć przeliczać filmy „na sztuki”. Nie interesuje mnie naskórek życia. Dlatego nigdy nie chciałam pracować w newsroomie. Wiadomości pojawiają się i znikają. Zapalają wiele gwałtownych emocji, ale przemijają jak trawa.

Chcę jak internista albo kardiolog zaglądać w głąb człowieka i szukać tego, co nie przemija. Ze zwykłych na pozór zdarzeń wyłuskiwać niezwykle, wspólne nam wszystkim wartości. Wsłuchiwać się w prawdziwe opowieści, bo to one nadają sens naszemu bezsensownemu nieraz światu.

Na szczęście mam jeszcze drugą nogę. Nie wyprę się. Belfer ze mnie z krwi i kości. Odkąd zaczęłam robić filmy, uczę, jak opowiadać językiem filmowym, studentów: najpierw w Brukseli, w szkole dziennikarstwa, którą sama skończyłam, a po powrocie do Polski – na dziennikarstwie UAM, potem na Uniwersytecie SWPS i WSB.

Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś w czasie strajku tramwajarzy jedna z moich ulubionych studentek, Kasia, szła

pieszo z drugiego końca Poznania na zajęcia do gmachu TVP, wtedy przy alei Niepodległości. Chłonęła wiedzę jak gąbka. Czułam, że to będzie jej miejsce. Ale nie lukrowałam przed nią pracy w telewizji. Wiedziałam, że jeśli nie uda mi się jej skutecznie zrazić, będzie nasza. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. I tak się stało. Przez wiele lat była dziennikarką i prezenterką TVP, a potem TVN. I nagle, w samym szczycie swojej kariery, poszła, a raczej poleciała z całą rodziną za swoimi marzeniami. Dzisiaj jest znana jako Mama na Zanzibarze. Kasia Werner, to o niej mowa.

Co tu dużo mówić. Lubię dzielić się wiedzą i lubię moich studentów, a studenci chyba lubią moje zajęcia. No i dobrze jest mieć takie dwie nogi.

Wykładowcą na UAM zostaję w tym samym czasie, kiedy zaczynam pracować w TVP. I gdyby nie pewien mroźny, lutowy poranek 2009 roku, pewno tak by było do dzisiaj. Tymczasem po rocznej przerwie na rehabilitację melduję się w rektoracie, żeby podpisać umowę na kolejny rok.

– Ale nie mamy dla pani umowy.

– Jak to? Proszę sprawdzić. Na pewno jest! Pan dziekan mówił, że jest gotowa, że cieszy się, że wracam do pracy, i mam tylko przyjść podpisać!

Umowa się jednak nie znajduje. I tak, po czternastu latach bezpiecznej pracy, na etacie w TVP i na UAM, czuję, jakbym stanęła na skraju przepaści.

Co teraz?

Napisałam praktyczny podręcznik visual storytellingu, znalazłam sekretną formułę tworzenia Oscarowych opowieści, to może zaczę szkolić?

Może pójde na swoje?

Ale jak ma się to udać, skoro w życiu nie wypełniłam nawet żadnego PIT-a? Nie bardzo wiem, czym się różni marketing od PR-u, a ROI kojarzy mi się jedynie z francuskim królem? Na dodatek jestem chora, kiedy mam rozmawiać o pieniądzach.

Nie umiem. Nie dam rady.

Pytam Reginę, koleżankę i szkoleniowca, czy w ogóle da się wyżyć ze szkoleń i utrzymać nie tylko siebie, ale i syna. A ona zadaje mi tylko jedno pytanie: ile zarabiam w telewizji. Do dziś pamiętam błysk rozbawienia w jej oku, kiedy słyszy moją odpowiedź.

– Tyle? Tyle to ty zarobisz w jeden dzień.

Gdybym posłuchała tego, co paniczny strach szepcze mi do ucha, nigdy bym się nie przekonała, czy to prawda. Rezygnacja z etatu jawi mi się wtedy jak własnoręczne podpisanie na sobie wyroku skazującego. No dobrze, ale jaką mam gwarancję czegokolwiek, jeśli zostanę w TVP?

W tamtym czasie mam dwóch mentorów. Pierwszym jest Irlandka, moja najukochańsza ciocia Ann, córka ostatniego sekretarza generalnego Ligi Narodów Zjednoczonych, dzisiaj ONZ. Drugim – Piotr Voelkel, człowiek, który w urzekający sposób łączy kulturę i biznes,

założyciel m.in. VOX-a, szkół da Vinci i Uniwersytetu SWPS. Nie mogę wytrzymać tego napięcia i dzwonię do jednego i drugiego. Więcej razy niż nakazuje przyzwoitość.

Piotr mówi mi tak:

– Gdybym jutro się obudził i okazało się nagle, że przez noc był jakiś totalny krach i nie mam już na swoim koncie ani miliona, nie zmartwiłbym się tak bardzo. Wiem, co umiem. Wierzę w siebie. Zacisnąłbym zęby i rano zaczął wszystko od nowa.

A ciocia Ann swoim zwyczajem najpierw mnie po prostu słucha. Słucha moich płaczów, lęków i nadziei i mniej więcej po godzinie mówi:

– Monika, kto jak nie ty? A poza tym pamiętaj, masz mnie. Wiem, że nie będziesz mnie potrzebować. I nie wiem, ile jeszcze pożyję, ale wiedz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Ostateczną decyzję podejmuję po rozmowie z Alicją. Razem pracujemy w TVP: ja na etacie dziennikarza i reżysera, ona jako główna księgowa. Najlepiej zna moją głęboką niechęć do jakichkolwiek druczków z cyferkami, które pod jej czujnym okiem tyle razy musiałam ciągle od nowa wypełniać.

– Moniko, nic się nie martw, ja ci pomogę! – Patrzy na mnie swoimi dobrymi, niebieskimi oczami, a jej uśmiech dodaje mi odwagi.

Co tam. Lepiej wspominać życie z radością: „Nie wierzę, że to zrobiłam!” niż z żalem: „Szkoda, że się nie odważyłam!”. Razem odchodzimy z TVP. I do dzisiaj Alicja z anielską cierpliwością i wyrozumiałością dotrzymuje słowa!

To dziwne, ale tamte dwa koszmarne tygodnie walki ze sobą, z tą bojaźliwą, niepewną i bojącą się ryzyka Moniką, kończą się jak ręką odjął, kiedy podejmuję decyzję. Przy okazji odkrywam, jak to z tymi decyzjami jest. Nigdy nie ma pewności na sto procent. Jeśli podejmuję dobrą decyzję – to na sto procent wygrywam. Jeśli się okaże, że nie, to przegrywam tylko w połowie.

W liceum miałam poprawkę z matematyki, więc może nie do końca dobrze liczę, ale tak czy inaczej wychodzi mi, że podejmując jakąkolwiek decyzję, mam i tak większe szanse sukcesu niż porażki. Dobrze liczę?

Ale decyzje podejmować jest trudno. Jeszcze trudniej samemu. A na bliskich z podejmowaniem trudnych decyzji nie zawsze można liczyć. Oni nie siedzą we mnie i nie wiedzą tak naprawdę, czego najbardziej potrzebuję. Chcą mnie za wszelką cenę chronić. Niekoniecznie rozwijać.

Rozwój to zmiana. A zmiany nie zawsze lubimy. Boimy się ich. Tak przynajmniej mówią psycholodzy. Dlatego potrzebujemy wsparcia ludzi, którzy chcą się rozwijać podobnie jak my, którzy mają te same obawy co my i podobną nadzieję na to, że się nam uda.

Jak dobrze, że znalazłam takie osoby, choć bycie przedsiębiorcą, z mojej perspektywy, to bardzo samotna droga. Nawet kiedy jak ten przewodnik Górski prowadzę na moich kursach ze sobą grupę ludzi, moje poczucie odpowiedzialności za tę grupę i wszystko, co się po drodze wydarzy, potrafi mocno dociążyć plecak. A trudno wtedy mówić innym: „Jestem taka zmęczona! Poniesie ktoś za mnie?”.

Gdybym wtedy pamiętała, że wcale nie jestem sama! Że wystarczy zapytać... albo poprosić... Że ten odczuwalny ciężar, który tak mnie przygniata do ziemi, to nie jest prawdziwa waga życia. Że jest Ktoś, dla Kogo moje życie jest tak ważne, że poniesie ze mną każdy ciężar, choćby nie wiem, jaki był ciężki i ile razy miał pod nim upaść. A i życie swoje odda, bylebym tylko ja uratowała swoje.

W tamtym czasie takie myśli jednak nie mieszczą się na mojej codziennej liście spraw do załatwienia. Może tylko czasem, na mszy świętej, którą tak planuję w niedzielę, żeby mi pasowała do programu dnia.

Na modlitwę zwykle rano czasu brakuje, a wieczorem już padam z nóg. Zasypiam od razu, zanim zdążę zrobić znak krzyża. I zaraz znowu dzwoni budzik. Wyrывam z notesu białą kartkę, na której za chwilę znajdzie się nowa, długa lista zadań na kolejny dzień. I w pośpiechu nie zauważam, że tam jest już coś zapisane. Że czeka na mnie gotowy scenariusz, i to nie jeden.

A kto pisze najlepsze scenariusze?

Napisałam ich trochę w swoim życiu, więc bez wahania wskazałabym moich mistrzów: Krzysztof Kieślowski, w duecie z Krzysztofem Piesiewiczem, Robert Bolt od *Misji*, Eric Roth od *Forresta Gumpa*, David Franzoni od *Gladiatora*.

Później słuchając setek, a może tysięcy historii ludzi, o których robiłam filmy dokumentalne i reportaże, przekonałam się, że najlepsze scenariusze pisze samo życie.

Aż wydarza się w moim życiu coś, co sprawia, że jeszcze inaczej zaczynam patrzeć na historie innych. I na moją własną historię. I czuję, jakby Ktoś nagle przywrócił mi wzrok.

Ale wtedy, kiedy podjęłam jedną z najbardziej dramatycznych decyzji w życiu, pracuję jeszcze tak, jakby ten scenariusz zależał tylko ode mnie.